

Współpraca, która jest służbą

Kinga Wenklar

Po lekturze tekstów Tomaszów Rowińskiego i Dekerta w ostatnim 52 numerze „Christianitas” pozostaje przygnębiające wrażenie. Ludzki zachwyt nad potęgą rozumu rzadko miewał w historii swoje kryzysy, raczej jesteśmy świadkami jego nieprzerwanego narastania, choć może współczesne tego konsekwencje należą do najbardziej spektakularnych. Ciekawe, że zachwyt nad rozumem jakoś nie idzie w parze z zachwytem nad ciałem, i zdaje się, że ta właśnie konstatacja najbardziej przyczyniła się do mojego przygnębienia. Dlaczego im bardziej człowiek rozumny, tym chętniej okalecza swoje ciało, handluje nim, wymienia się na inne ciało lub wręcz porzuca swoje własne bez sentymentu? I dlaczego im bardziej rozumny, tym trudniej przyjąć mu prawdę o Wcieleniu i wszelką nadzieję oraz łaskę z tego faktu płynące? Czyżbyśmy żyli w społeczności jednostek pragnących sterować swoimi ciałami i popędami bardziej bezwzględnie, niż czyniłyby to wobec dzikich zwierząt? Kto wie, może wierność Bogu powinna nas w takim razie zaprowadzić do stworzenia jakiegoś Greenpeace’u na rzecz człowieka z krwi i kości... Zasadniczo fakt, że tzw. świat zmierza w dziwnym kierunku, da się jakoś przełknąć, w końcu już niejedne straszne albo tylko dziwaczne manowce odwiedziła ludzkość. Przejmujące jest, że to ludzie należący do Chrystusa zmierzają tak bezwolnie tropem (o)błądnych intuicji.

Wyrafinowanie intelektualne wyrażające się w zdystansowaniu wobec ciała, w przekonaniu, że możemy i powinniśmy nad nim panować jak właśnie nad jakimś zwierzem poddanym naszej pieczy i władzy (przez Boga, a jakże, wszak o ludziach wierzących i pobożnych mówimy), rodzi poczucie coraz rzadziej kwestionowane, że jesteśmy niejako ponad stworzoną naturą, bliżsi Bogu niestworzonemu niż Jego stworzeniu. Współcześnie przekonują nas

glossy

o tym zarówno lawinowo narastające dylematy natury bioetycznej czy przerażające eksperymenty z płcią, jak i z pozoru subtelne przesunięcia w postrzeganiu czegoś, zdawałoby się, tak uporządkowanego i uświęconego, jak sakramentalne małżeństwo. Zaiste, pomyśleć by można – pełnomocnicy Boga na emigracji ziemskiej. Tymczasem z prochu powstaliśmy i w proch powrócimy, sługi nieużyteczne jesteśmy, przyjaciele o tyle, o ile znamy i pełnimy wolę Pana naszego.

Uderzające, że to właśnie wątek służby pojawia się w tle zarówno każdego ze wspomnianych wyżej tekstów obu Panów Tomaszów, jak i na kartach przywoływanych na łamach „Christianitas” książek Fabrice’a Hadjadja.

„Aby więc w sprawach małżeńskich wrócił ład należyty, powinni wszyscy myśl Bożą o małżeństwie rozpatrzyć i do niej starannie się stosować”

Jak trudna i nieoczywista jest nauka o małżeństwie dla współczesnych, z zasady antropocentrycznie myślących chrześcijan, celnie ukazuje tekst Tomasza Dekerta dotyczący metody Naturalnego Planowania Rodziny (NPR). Imperatyw samostanowienia w duchu racjonalizmu jest tak mocno zakorzeniony we wszelkiej współczesnej refleksji (zarówno tej wyrafinowanej, jak i zwykłej, domorosłej), że nikomu do głowy nie przyjdzie, że jeden Bóg mógłby chcieć z tego się wyłamać i oczekiwać od nas czegoś, co wykracza poza rozpoznane przez nas ramy ludzkiego rozumu i tzw. wolnej, nieprzymuszonej woli. Będąca dziecięciem swego wieku metodologia NPR wyrasta z tego pnia i jednocześnie go umacnia, prowadząc wyrafinowaną narrację o tym, jak zachować, przeważnie nominalnie, nakazaną małżeństwu płodność, jednocześnie dietność, utrzymując w ryzach prywatny, z namyśłem nakreślony plan. Ów cynicznie skonfigurowany cel zdaje się rodzić w efekcie nie tylko znamienne przesunięcia w obszarze rozumienia dobra, które opisuje Dekert, ale również – i jak mi się wydaje, są to nierozłączne kwestie – rozumienia wolności, do której powołuje nas Bóg. W niekwestionowany już dziś przeważnie sposób przeszliśmy w chrześcijańskim dyskursie od wolności jako tej, którą człowiek osiąga w Bogu, żyjąc w zgodzie z Jego wolą i znajdując w tym spełnienie i źródło łaski, do wolności

jako życia w zgodzie z samym sobą, w dojrzałym pogodzeniu się ze swymi słabościami, w dziecięcym zawierzeniu w Bożą wyrozumiałość, w szacunku dla ludzkiego wzrastania w czasie – że sparafrazuję co bardziej popularne formuły. A Bóg stoi z boku, przygląda się z uśmiechem i pomaga w co trudniejszych momentach. I trudno uwierzyć, że może lepiej od nas wiedzieć, co jest dla nas dobre, a co nie. A już na pewno nie chciałby nam tego narzucać w żaden sposób.

Pius XI, otwierając poświęconą odnowie małżeństwa część encykliki *Casti Connubi*, rozpoczyna od przywołania słów św. Augustyna poświęconych właśnie ludzkiemu ciału i służbie: *Słuszna bowiem, by rzecz niższa podlegała wyższej; by ulegał wyższemu, kto pragnie, żeby, co niższe jest, jemu podlegało. Uznaj kolejność, szukaj pokoju! [...] służ Temu, który cię stworzył, aby tobie służyło, co stworzone jest dla ciebie. Nie uznajemy bowiem ani nie zalecamy takiej kolejności: Tobie podległe ciało, a ty podległy Bogu! lecz: Ty podległy Bogu, a tobie podległe ciało! Jeżeli zatem za nic masz zasadę Ty podległy Bogu, nigdy nie uzyskasz, by tobie podlegało ciało [...]*¹ [podkreśl. – K. W.].

¹ CC 2.

Na nic się zda poddawanie ciała rozumowi, nie zbliży to naszej duszy ani na jotę do Boga, jeśli najpierw ten rozum nie przyjmie, że wszelka władza nad nami – czyli nad ciałem i duszą – należąca jest Bogu. To Jemu służąc, wchodzimy na drogę prawdy o tym, kim jest człowiek i na czym polega jego wolność – właśnie na ogarnięciu rozumem, że to, co zgodne jest z naszym istnieniem, spójne z naszą naturą, to wolne posłuszeństwo Bożym nakazom. Odzyskujemy realną władzę nad swoją cielesnością i jej popędami nie za pomocą przysłowiowego bata czy skrupulatnie przemyślanej ascezy, ale wówczas, gdy w ciele i za jego pomocą spełnia się cel, dla którego zostało ono stworzone. Czy nie jest obecnie tak, że nawet bogobojność gorliwie praktykujących małżonków przybiera postać „nieuznawanej i niezalecanej” antyrecepty autora *Wyznać? [...] Panować nad popędem seksualnym to znaczy właśnie przyjmować jego celowość w stosunku małżeńskim*, pisze Karol Wojtyła w *Miłości i odpowiedzialności*. Tymczasem propagowana na kursach przedmałżeńskich i w poradniach małżeńskich metodologia NPR odwołuje się głównie do współczesnych idoli: pragnienia samokontroli i samostanowienia oraz rzekomej

powinności uduchowienia tego, co tak dosadnie jest cielesne – fizjologiczne, impulsywne, popędowe poprzez namysł, analizę, mierzenie, ważenie, rozciąganie i kto co tam jeszcze chce. Jak gdyby owo „Sama sobie zrobiłam...” z piosenki Kazika konstituowało godność człowieka. Jednak nikt zdaje się nie dostrzegać, że w dbałości o to, by wynieść małżeńskie współżycie i poczęcie tą drogą dzieci ponad to, co niegodne, bo rzekomo zwierzęce, praktycy NPR sięgają po metody od zarania stosowane ni mniej, ni więcej jak właśnie w hodowli zwierząt – obserwacja wydzielin, narządów, poziomu hormonów, monitoring komórek... Każdy hodowca, choćby rasowych psów, te szczegóły zna. A tu jeszcze instruktorzy NPR przypisują tej mozolnej, laboratoryjnej praktyce realizowania własnych prokreacyjnych planów miano drogi małżeńskiego uświęcenia i ascezy.

Kryją się w tej postawie przynajmniej dwa słabe momenty.

Przywoływany przez Tomasza Dekerta „oświecony” prymat rozumu nad niechybnie grożącym pożyciu małżeńskiemu rozpasaniem w rzeczywistości karmi się absurdalnymi dla katolika ideami. Z jednej strony jest to mrzonka, którą opisuje Tomasz Rowiński (*Małżeństwo w mirażu namiętności*) – pragnienie szczęśliwego pożycia rozumianego jako nieustanna i niewyczerpana namiętność². Nie zilustruję istoty zjawiska lepiej niż praktyk, stąd pozwolę sobie zacytować wypowiedź-świadcstwo zawartą w konspiekcji lekcji wychowania do życia w rodzinie autorstwa Teresy Król:

Prowadzimy bardzo aktywne życie seksualne w zgodzie z naturalnym rytmem płodności i daję głowę, że gdyby ktokolwiek przeprowadził badanie poziomu szczęścia i udanego życia seksualnego wśród takich małżeństw jak nasze i wśród stosujących antykoncepcję – jesteśmy górą. W prosty sposób mogę to wytłumaczyć. Dla stosujących antykoncepcję choinka stoi cały rok na środku pokoju. Tylko czasem ją zauważają i włączają lampki, żeby była piękna. Często odkładają tę czynność do jutra, bo i jutro mogą to zrobić. Dla małżeństw żyjących w naturalnym rytmie płodności na choinkę czeka się co miesiąc przez kilka dni, a jak już jest, nie traci się ani dnia, żeby się nią

² Por. „Christianitas”
nr 52, s. 73.

nacieszyć, bo przecież za kilkanaście dni znowu będzie niedostępna. Taką choinką jest możliwość współżycia³.

Mamy tu więc moment małżeńskiej „komunii osób”, którą porównuje się do błyskotki mającej pełnić funkcję swoistego „zakazanego owocu” i tym sposobem stymulująco działać na poczucie atrakcyjności pożycia małżonków. Pomijając fakt, że tak rozumiane okoliczności są warunkami całkowicie sztucznie stworzonymi, trzeba zauważyć, jak wielka tęsknota i zarazem niedojrzałość kryją się w pragnieniu stałego podtrzymywania w małżeństwie efektu nowości połączonego z pożądaniem charakterystycznym dla okresu narzeczeństwa. Kłania się nam rewolucja seksualna i „piękne” lata 70....., czyż nie? „Kochać się jak wariaci!...”

Z drugiej strony metodologia NPR nastawiona jest jednocześnie na rzekome oczyszczenie małżeńskiej seksualności z nieuporządkowania należnego namiętności. Oczyszczenie to ma się dokonywać poprzez racjonalizację, rozumowe przekształcenie:

NPR wymaga eliminacji reakcji odruchowo-bezwarunkowych, przenosząc ośrodek dyspozycyjny z rdzenia kręgowego na poziom kory mózgowej, ukierunkowując dynamizm seksualny, a tym samym wprowadzając harmonię między życiem popędowym a funkcją prokreacyjną⁴.

Postrzeżenie w metodologii NPR tego, co płciowe i związane z naturą seksualności, jako czegoś grzesznego, domagającego się od nas działań „oczyszczających” zauważa również Tomasz Dekert, pisząc: *psychocieleśna seksualność człowieka jest [w narracji NPR – K. W.] jak gdyby dziedziną ciągle nieodkupioną, nietransparentną dla łaski [...]. Pozytywny wymiar osiąga ona dopiero po tym, jak człowiek ujarzmi ją odpowiednią praktyką ascetyczną [...].* Warto przywołać w tym kontekście słowa Jana Pawła II z *Listu do Rodzin Gratissimam sane*, gdzie czytamy: *Ludzkie Rodzicielstwo jest biologicznie podobne do prokreacji innych istot żyjących w przyrodzie, ale istotowo jest „podobne” – ono jedno – do Boga samego. Takie właśnie rodzicielstwo stoi u podstaw rodziny jako ludzkiej wspólnoty życia: jako wspólnoty osób zjednoczonych w miłości (communio personarum)*⁵. Wydaje się, że NPR-owa „katecheza”

³ T. Król, *O nowoczesnym planowaniu rodziny*, konspekt lekcji wychowania do życia w rodzinie, załącznik nr 6, http://www.wychowawca.org.pl/miesiecznik_nowy/2007/07-2007/08.htm.

⁴ Tamże, załącznik nr 1.

⁵ LdR 6.

tak jest skupiona na pożądliwości i wzajemnym pragnieniu siebie małżonków (jednocześnie chcąc je zachować i ujarzmić), że zupełnie umykają jej pierwotne wobec tych emocji miłość i zakorzenienie w sakramencie. Przecież to nie okresowe oddalanie małżonki z łoża, i to dlatego, że jest płodna, oczyszcza małżeńską seksualność, ale sakramentalna obecność Chrystusa w tym małżeństwie – oczyszcza i uświęca, podnosi do Bożej godności małżeńskie współżycie jak i życie rodzącej się z niego rodziny. Przecież to fakt, że ludzkie życie poczyna się w małżeństwie, potwierdza i gwarantuje jego godność, a nie chłodne i precyzyjne kalkulacje małżonków. Twierdzenie, jakoby każde godne poczęcie powinno być poprzedzone głębokim namysłem, precyzyjnym obliczeniem, przygotowaniem na gruncie medycznym i pełną świadomością rodziców co do momentu poczęcia, wyrasta z myślenia zamkniętego w horyzoncie doczesności, opanowanego przez konsumpcyjnego bożka tzw. optymalizacji warunków życia. Wyprawka, kwas foliowy i odpowiednia różnica wieku między dziećmi to nie są, szczególnie z punktu widzenia wieczności, poważne warunki dla pojawienia się życia. A dane było mi usłyszeć i takie motywacje: „Zaplanowaliśmy je na lato, żeby codziennie można było wyjść na słońce”. Kto nie znając kontekstu, odgadłby, że mowa tu jest o dziecku? Przy całej świadomości trudu zrodzenia i wychowania dzieci powołani jesteśmy przede wszystkim do życia prawdą złożonej nam obietnicy: *Szukajcie najpierw Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a wszystko inne będzie wam dodane* (Mt 6, 33). Dopiero z takiego życia płynie łaska, która oświeca rozum, oczyszcza ciało, uświęca najbardziej banalną codzienność.

Absolutny dar z siebie

Czy kora mózgowia to ośrodek zacniejszy niż rdzeń kręgowy? I czy w związku z tym Duch Święty miałby bardziej przebywać w mózgowej korze niż rdzeniu? Apostoł Paweł jakby przewidział te nasze wątpliwości: *Czyż nie wiecie, że ciało wasze jest świątynią Ducha Świętego, który w was jest, a którego macie od Boga, i że już nie należy do samych siebie? Za [wielką] bowiem cenę zostaliście nabyci. Chwalcie więc Boga w waszym ciele!* (1 Kor 6, 19-20).

O *Liście do Rodzin* Jana Pawła II przypomniał mi wątek dobra przywołany przez Tomasza Dekerta w kontekście NPR. Papież

niczym refren przywołuje temat *dobra wspólnego* – małżonków, rodziny, społeczeństwa. Przypomina za św. Tomaszem, że *do natury dobra należy upowszechnianie się (bonum est diffusivum sui)* – urzeczywistnia się ono wówczas, gdy dzielimy się nim, podzielimy je z jak najszerszym kręgiem ludzi. Tymczasem, pisze, [...] jest mało ludzkiego życia w naszych współczesnych rodzinach. *Dobra wspólnego nie ma z kim wspólnie tworzyć – i nie ma wśród kogo tego dobra rozdzielać*⁶. Rozum i rozsądek ukształtowane przez świat nam współczesny, a nie przez Ewangelię, nakazują, by ograniczać krąg ludzi, a mnożyć *dobra* i tym sposobem okazywać dbałość i troskę o powierzone nam dzieci. Trudno jednoznacznie określić tę postawę jako egoistyczną, wszak cechuje ją poczucie obowiązku, odpowiedzialności i swego rodzaju nawet ofiarności. Czy jest to myślenie oczyszczone łaską i kierowane przez właściwie ukształtowane sumienie – można poważnie powątpiewać. A jednak pierwsza troska i pierwsze poczucie odpowiedzialności rodziców i bliskich z reguły kierują się nie w stronę *dobra wspólnego* (jedności, licznej wspólnoty rodzinnej, bogactwa bycia dla siebie nawzajem i wymiany uczuć, wielokrotnie potwierdzanej wartości życia), ale właśnie w stronę policzalnych dóbr: „jak my im wszystkim zapewnimy solidne wykształcenie?”, „jak my im umożliwimy pełny udział w tym, co obecnie oferuje świat?”, „jak my im poświęcimy odpowiednią ilość swojego czasu?”. W przekonaniu, że tym więcej jest *dobra* (wszelakiego, tego niematerialnego również), im mniej głów trzeba nim obdzielić, zaprzeczamy wezwaniu do czynienia swego życia *bezinteresownym darem*.

⁶ LdR 10.

Papież wprost mówi, że dobrem wspólnym rodziny jest każdy nowo narodzony. *Tak jak dobro wspólne małżeństwa urzeczywistnia się poprzez miłość oblubieńczą, która gotowa jest dawać i przyjmować nowe życie – tak dobro wspólne rodziny urzeczywistnia się przez tę samą oblubieńczą miłość spełnioną w nowo narodzonym*⁷. *Gloria Dei vivens homo* – przypomina słowa św. Ireneusza – „Chwałą Boga jest życie człowieka”.

⁷ LdR 11.

Oddajemy Bogu i głosimy Jego chwałę, wyrażając w przyjętym dziecku wiarę w życie, w jego wartość, uznając jego piękno i celowość. Gdy nie chcemy kolejnych dzieci, mówimy „NIE” nie tylko temu konkretnemu, mającemu się począć człowiekowi, ale życiu w ogóle, uznając, że oto w tych okolicznościach nadchodzi taka

jego postać, która nie jest warta, by nią obdarowywać. Z jakichś powodów, zwykle bardzo racjonalnych, uznajemy to życie za niewarte ukonkretnienia w człowieku – bo za ubogie, może ułomne, bo nieuczzone, bo rodzice zbyt starzy, bo zapracowani, bo inne talenty czekają na realizację, bo już żyjące dzieci na tym tracą... Życie, którym oto moglibyśmy obdarzyć, nie jest przygodą wartą podjęcia. Życie, które my możemy dać... Czy nie jest to moment pychy? Życie daje Bóg. Kto z nas może powiedzieć na pewno, jakie ono będzie i czy w ogóle będzie?

W tym momencie dyskusji najczęściej wypływa termin odpowiedzialnego rodzicielstwa i rozumu, który Bóg nam dał, byśmy z jego pomocą oceniali i rozeznawali. W *Liście do Rodzin* czytamy jednak, że odpowiedzialne rodzicielstwo to takie, które realizuje zadanie wspierania godności małżeństwa i rodziny. Godność ta z kolei – w dalszym ciągu przytaczam za Ojcem Świętym – polega na nierozdzielnej jedności małżeństwa z rodzicielstwem⁸. A w innym miejscu z jeszcze większą mocą: *Bóg chce człowieka dla niego samego. Trzeba, ażeby w to chcenie Boga włączało się ludzkie chcenie rodziców*: aby oni chcieli nowego człowieka, tak jak go chce Stwórca. *Ludzkie chcenie zawsze poddane jest prawu czasu, prawu przemijania. Boże – jest odwieczne. Zanim ukształtowałem cię w łonie matki, znałem cię – mówi prorok Jeremiasz – nim przyszedłeś na świat, poświęciłem cię (Jr 1,5). Genealogia osoby jest naprzód związana z wiecznością Boga, a potem dopiero z momentem ludzkiego rodzicielstwa*⁹. Przyznaję, że słowa te pozostają dla mnie osobiście, jako rodzica, najbardziej poruszające. Jakże inaczej w ich kontekście brzmią wyświechtane już w każdą stronę przez „katechezę” NPR-ową słowa o godności rodziców jako współpracowników Boga w stworzeniu. Z godności tej, jak widać, nie płyną same przywileje i legitymacja na wszelkie chcenie i niechcenie, ale wezwanie do ofiarnego posłuszeństwa misji przekazywania życia tym, których Bóg już przed nami zapragnął w swej hojności. Naśladując tę hojność, małżonkowie potwierdzają miłość Bożą, pomagają jej rozlać się na świat. Jest to ich zadanie, do którego mają nieprzerwanie wzrastać w swoim życiu. Nie pojawia się w *Liście* ani słowo o rozsądku, opanowaniu czy wstrzemięźliwości, za to czytamy, że potwierdzanie się miłości w rodzicielstwie ludzkim to *takie bogactwo, że nie można do niego*

⁸ LdR 12.

⁹ LdR 9.

przybliżyć się inaczej, jak na kolanach¹⁰. Tylko poddając się łasce i nieprzerwanie kształtując swoje sumienie w świetle Ewangelii i nauki Kościoła, można sprostać temu zadaniu. Bo pokus jest wiele. Już w duszpasterstwie słyszymy, że małżonkowie potrzebują pierwszego roku tylko dla siebie (ileż smutnych NPR-owych nocy poślubnych po takich naukach!), potem poradniki dla matek wbijają nam do głowy, że wypoczęta, zadbaną mamą to szczęśliwe dzieci, potem katoliccy doradcy laktacyjni uświadamiają, że przerwy między dziećmi należy wprowadzać przynajmniej trzyletnie, żeby nie odbierać pokarmu starszemu. Przy drugim czy trzecim dziecku zaczyna brakować czasu dla siebie, więc słyszymy, że dzieci nie mogą przeszkadzać w rozwijaniu relacji między rodzicami, że trzeba dbać o jedność małżeńską. Więc oto czas na urlopy we dwoje, na kino i realizację marzeń, a nie na kolejne potomstwo... Tylko czy więcej rekreacji we dwoje pogłębia *komunię* między małżonkami, czy pomnaża miłość Bożą w ich życiu? Może zamiast sięgać po NPR, *natychmiast trzeba pytać, czy egoizm, który z powodu grzeszności człowieka – kryje się także w miłości mężczyzny i kobiety, nie jest silniejszy od tej miłości. Trzeba, aby małżonkowie [...] od początku mieli serca i myśli zwrócone w stronę Boga; w stronę Tego*, od którego pochodzi wszelkie rodzicielstwo, *ażebym ich ludzkie rodzicielstwo stawalo się za każdym razem źródłem odnowienia miłości*¹¹.

Brzmi niecodziennie, prawda? Przywykliśmy, by nas pocieszać, gdy jest ciężko, rozgrzeszać i za pokutę dawać relaksującą kąpiel jako uczynek miłosierdzia dla siebie samego. Wszystko tłumaczyć skomplikowaną, a kruchą psychologią człowieka. Można i tak, jednak w porządnym rachunku sumienia zawsze znajdziemy punkt: *Czy mam zaufanie do Opatrzności Bożej i robię wszystko, co możliwe, aby usunąć przeszkody utrudniające posiadanie więcej dzieci?*¹² Czy podporządkowuję moje małżeńskie życie temu głównemu celowi, jakim jest obdarzanie życiem? Czy rozumiem (!), że w ten właśnie sposób oddaję należną Bogu chwałę i spełniam złożoną Mu przed ołtarzem obietnicę? Te pytania brzmią jak z poźółkłego notatnika groźnego kaznodziei, ale nie sposób wrastać w małżeństwie, nie zadając ich sobie nieprzerwanie od nowa. Wynikają z naszego powołania do życia w prawdzie – w tym wypadku w prawdzie o istocie i naturze małżeństwa, w którym

¹⁰ LdR 7.

¹¹ Tamże.

¹² Przewodnik modlitwy, Kraków–Ząbki 2008, s. 379.

nie chodzi o wzajemną pomoc przy myciu naczyń i satysfakcjonującą, wiecznie świeży seks, tylko o służbę Bogu. „Katecheza” NPR zdaje się kompletnie pomijać ten aspekt, budując „po swojemu” pojęcie odpowiedzialnego rodzicielstwa. Pomija również fakt, że dar rodzicielstwa posiada swoją „wewnętrzną dyscyplinę”, którą jest nie okresowa wstrzemięźliwość, ale powinność, jaką mamy czynić (*W pojęcie daru wpisana jest nie tylko dowolna inicjatywa podmiotu, ale też wymiar powinności*¹³). Bez tego zrozumienia nie może też być mowy o autentycznej wewnętrznej wolności, która sprawia, że działamy kierowani nie impulsami chcenia czy poczucia obowiązku w wąskim horyzoncie czasu, ale powodowani łaską umiemy podejmować decyzje dalekosiężne, wykraczające poza horyzonty naszych przewidywań i kalkulacji, wolni od lęku.

¹³ LdR 7.

Nie bez przyczyny w rozważania o powołaniu do rodzicielstwa Jan Paweł II włącza słowo o wolności. To w różnym jej rozumieniu dostrzega przyczynę zamierania cywilizacji „beziinteresownego daru”, „cywilizacji miłości” – idąc za pojęciem ukutym przez Pawła VI – na rzecz cywilizacji indywidualizmu. *Indywidualizm oznacza takie użycie wolności, w którym podmiot czyni to, co sam chce. Nie przyjmuje, aby ktoś chciał, wymagał od niego w imię obiektywnej prawdy*¹⁴. Gdy umiemy tę prawdę o „chcieniu nad nami” przyjąć i poddać się jej, odnajdujemy dla siebie wolność stworzeń Bożych, wolność wpisaną w naszą ludzką naturę. Warto ćwiczyć swój rozum i oczyszczać go na wszelkie sposoby, by był zdolny pójść właśnie tą drogą – stawania się nieprzerwanie darem dla drugich i znajdowania w tym radości, bo „jest to radość, o jakiej mówi Chrystus”.

¹⁴ LdR 14.

Niech dbają o optymalizację warunków życia ci, którzy żyją w adwentowej ciemności (Iz 9,1), niech troszczą się o ciało, drżą o życie, sądząc, że sami o własnych siłach nie mogą go wydłużyć ani o jeden dzień. Ci, którzy znaleźli światło w Chrystusie, nie muszą się już bać, nie muszą drzeć o swoje biedne ciała, bo one, tak samo jak ich dusze, są całe ukryte w dłoni Boga. Trudno wyobrazić sobie bardziej konkretne, jednoznaczne i dosłowne poddanie Bożej miłości. Trudno zarazem wyrazić, jak bardzo konkretna, jednoznaczna i dosłowna jest Boża odpowiedź na takie zaufanie. To już przestaje być sfera myśli i słów. To jest niewyrażalne doświadczenie. Na własnej skórze. ■